

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (34)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Oczywiście znacznie wcześniej wiedziałem, kim jest J. Turowicz. Któż nie słyszał lub nie czytywał w okresie PRL-u „Tygodnika Powszechnego”, legalnego pisma nielegalnej podówczas opozycji politycznej. Mnie jednak bardziej ciekawił Turowicz w kontekście polemiki, jaka się wywiązała w połowie lat 80. między nim a Zygmuntem Kałużyńskim, ba, włączył się w nią nawet Józef Glemp, ówczesny prymas. Kałużyński pisał w „Kulturze” (w 1985 r.), Turowicz odpowiadał w swoim organie. Słynny krytyk filmowy opublikował potem te potyczki w książce „Paszkwil na siebie samego” (PIW 1988). Znakomite! I do dziś aktualne.

I tu muszę wreszcie ujawnić, że nic się podczas tej podróży nie wydarzyło. Niestety. Siedziałem cicho, panowie podobnie cicho, niczym górski potok, szemrali między sobą, pociąg zaś jechał, aż wreszcie dotarł do Krakowa Głównego. Pasażerowie zaczęli powoli opuszczać przedział, aż w końcu został w nim tylko J. Turowicz. I ja. Wychodząc, pożegnałem się i z zaskoczenia wręczyłem mu swój niedawno wydany MAW-owski zbiorek wierszy „To wszystko nic” (1990). Czyli pokazałem tym samym, iż wiem, z kim podróżowałem. Redaktor uśmiechnął się. Koniec podróży. Koniec scenki.

Mogę dodać, iż promocja książki o Spotkaniach Wigierskich przy ul. Kanoniczej – gdzie dzień wcześniej dotarł prof. Strumiłło – zupełnie nie wypaliła. Owszem, na spotkanie przyszło kilku dziennikarzy, w tym autor znanej książki o kłatwie królów polskich, ale nie o frekwencję szło. Pierwszy i chyba jedyny raz w życiu widziałem A. Strumiłłę tak wkurzonego. Zirykował się, gdy rozpakowałem nasze dzieło, które w kilku paczkach z wielkim mozołem targałem z Białegostoku (po drodze urwały się kółka mojego wózka). Okazało się, że BZGraf spieprzył kolor obwoluty. Miał być absolutnie czarny, literactwo zaś złote. Gdy po latach patrzę na tę (ważną przecież) książkę, widzę właściwie ciemny brąz (tak!) tła obwoluty i –

powiedzmy sobie – spatynowane złoto liter. Prof. Strumiłło, który opracował graficznie książkę, nie miał okazji doglądać procesu jej druku (co zwykł czynić). I wyszło, jak wyszło. Choć, na szczęście, treść pozostała nadal istotna.

Jerzy Turowicz, ur. 10 grudnia 1912 roku w Krakowie - zm. 27 stycznia 1999 roku także w Krakowie. Redaktor, publicysta, polityk. Rozpoczął studiować na Politechnice Lwowskiej, w 1934 roku podjął studia na Wydziale Filozofii i Historii UJ. W 1945 roku współtworzył „Tygodnik Powszechny”, którego był redaktorem naczelnym (do śmierci). W latach 1960-1990 pełnił funkcję prezesa Instytutu Wydawniczego „Znak”. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu.

Kira Gałczyńska

W czasach, gdy pracowałem w suwalsko-mazurskich „Krajobrazach”, została zatrudniona w redakcji na pół lub ćwierć etatu (ale głowy nie dam, może była tylko na wierszówce) – osoba o znanym nazwisku. Kira Gałczyńska. Przyjęła w owym okresie (1980) również posadę kustosa Leśniczówki Pranie w Puszczy Piskiej, gdzie istniało muzeum Konstantego I. Gałczyńskiego, i tam zamieszkała (do 1997). Mój naczelny, Marek Starczewski, zapewne chętnie przyjął propozycję (a może i sam to wymyślił) pisania stałych felietonów do tygodnika przez osobę z tzw. dobrym nazwiskiem, w końcu dziennikarkę Telewizji Polskiej i „Trybuny Ludu”. Nazwisko nie wymagało dodatkowej reklamy, a dla zupełnie nowego, powstającego dopiero tygodnika, taka postać z warszawskiego światka to był prestiż. Zatem zaczęła pani Gałczyńska przysyłać do „Krajobrazów” felietony pt. „Pisane w Praniu”.

Coś nam się jednak w redakcji te publikacje nie bardzo podobały. Uznaliśmy, że nudne jak flaki z olejem i w zasadzie o niczym ważnym. „Uznaliśmy” – to głównie Irek Sewastianowicz i ja, dwaj młodzi i lekko gniewni. Mieszkaliśmy w owym czasie w redakcji przy ul. Kościuszki 32, gdyż nie zdobyliśmy jeszcze mieszkań; on w pokoju gościnnym, ja obok, w sali konferencyjnej. Oba pomieszczenia znajdowały się na poddaszu. Między naszymi „apartamentami” istniało spore archiwum redakcyjne, które w czynnie społecznym uporządkowałem, żeby łatwo nam było znaleźć ciekawą prasę ogólnopolską. „Krajobrazy” otrzymywały wówczas pełny komplet najważniejszych tytułów krajowych. Ponieważ czytałem, podobnie jak Irek, dobre czasopiśma, mieliśmy porównanie, z którego płynął wniosek: Kira G. jest w swych felietonach ogólnikowa, powierzchowna, nie zna lokalnych realiów. Dodatkową podpuchą do późniejszych działań stanowiły wyniki ankiety czytelniczej, którą kierownictwo redakcji postanowiło raz u pewnego przeprowadzić. Ludzie wypełniali i przesyłali formularze ankiety do „Krajobrazów”, Irek i ja zadeklarowaliśmy zaś podsumowanie nadesłanych materiałów. W odręcznych dopiskach czytelników

znaleźliśmy parę określeń w stylu: „Kira pisze bzdury i nieprawdę”. Widać naraziła się komuś w okolicy Rucianego-Nidy, Mikołajek lub Pisz, może nawet w słusznej sprawie. Dla nas jednak było to dodatkowe paliwo do działania.

Jako ambitni (oraz gniewni, podkreślam), zgłosiliśmy pewnego razu redaktorowi naczelnemu propozycję, żeby wycenę wierszówkową każdego wydania tygodnika robiły na zmianę różne pary dziennikarzy (a nie tylko naczelny lub sekretarz redakcji, jak to było w zwyczaju). Starczewski poszedł na to. Kiedy przypadła nasza kolej dokonania wyceny, uznaliśmy, iż felieton Kiry Gałczyńskiej nie zasługuje na więcej niż... 70 groszy. A może to były 4 złote? Nie pamiętam dokładnie, ale ten rząd wielkości - czy raczej: niewielkości. Zwyczajową wycenę zanotowaną na roboczym egzemplarzu pisma sekretarka przepisywała do kart wierszówkowych autorów, potem zestawiała wycenę całego numeru, szef podpisywał (jak się okazało, w ciemno) i dokumenty szły do naszej centrali, czyli do RSW „Prasa - Książka - Ruch” w Białymstoku, gdzie funkcjonowała firmowa księgowość i kasa. Stamtąd dysponowano wypłatą.

Sprawa wyszła na jaw wkrótce, gdy na konto K. Gałczyńskiej wpłynęła owa zenująco niska kwota (minus podatek). Lecz obaj z Irkiem kataklizm redakcyjny przeżyliśmy. Liczyliśmy się z nim zresztą. Bezczenie myśleliśmy jednak, że może Gałczyńska się wkurzy i przestanie pisać. Ku naszemu niezadowoleniu – nie przestała. Ale czy w ogóle dowiedziała się o tym zdarzeniu, czy szef pisma przekazał jej, że dwóch nieopierzonych żurnalistów pozwoliło sobie na wygłup? Może dyplomatycznie rzucił to na pomyłkę sekretarki? Nie wiem do dziś, a sprawa szybko się rozplynęła. Z Kirą Gałczyńską także nie było okazji porozmawiać, gdyż w redakcji bywała rzadko, miała na głowie Pranie, tam pracowała (a z Prania do Suwałk jest chyba ze 150 km, kawał drogi).

Irek na pamiątkę tamtych wydarzeń nadał swojej czarnej kotce imię Kira.

Po latach, zwłazsza po lekturze książek Gałczyńskiej o ojcu, wizerunek autorki w moich oczach nabrał ciepła. Może nie ze wszystkim, co obecnie pisze, się zgadzam, ale przynajmniej pisze tak, że można z zainteresowaniem czytać. A o to właśnie chodzi: żeby nie nudzić.

Kira Gałczyńska (Gałczyńska-Kilańska), ur. 26 kwietnia 1936 w Wilnie. Dziennikarka i pisarka. Córka Natalii i Konstantego I. Gałczyńskich. Ukończyła filologię rosyjską na UW (1956). Pracowała w „Nowej Kulturze” (1957), „Kurierze Polskim” (1958–1965), Telewizji Polskiej (1965–1972), „Trybunie Ludu” (1972–1980), białostockich „Kontrastach” (1982–1984). Jest twórczynią muzeum Gałczyńskiego Leśniczówka Pranie, była jego kustoszka. Jest redaktorką i edytorką większości edycji dzieł ojca.

KONIEC